



PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie:
rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35,
Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnej w 8-miu tomach
rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi
rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca HIPOLIT ORGELBRAND.

Ekspedycja główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego
kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwar-
talnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich pożytecznych, kwartalnie
flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskim: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½,
wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

SZKICE ANTROPOLOGICZNE.

IV.

Znaczenie mowy ludzkiej w antropologii. — Zależność mowy od rozwoju władz umysłowych, mózgu i czaszki. — Względna trwałość języka literackiego i mowy ludowej. — Dzieje starożytnych Aryasów wykryte za pomocą językoznawstwa. — Kilka słów o pochodzeniu języków europejskich. — Wpływ organizmu fizycznego na mowę, i mowy na fizjonomię. — Wpływ Buddyzmu i Chrześcijaństwa na postęp nauki o językach. — Klasyfikacja języków.



historii naturalnej człowieka niezmiernie ważną rolę odgrywa mowa jego jako stanowiąca jedną z najważniejszych różnic zachodzących pomiędzy człowiekiem a zwierzętami. Wprawdzie niektóre zwierzęta wydają kilka rodzajów nieartykułowanych krzyków, na wyrażenie swoich uczuć, jak to zauważył Darwin, u małp zwanych *Cebus azarae* w Paragwaju i u psów domowych, lecz krzyki owe nie mają nic wspólnego z mową artykułowaną, właściwą jedynie tylko rodzajowi ludzkiemu. Wymawianie wyrazów artykułowanych jest wprawdzie zarówno możliwem dla człowieka, jak i dla niektórych ptaków, lecz sam tylko człowiek na mocy wyższego rozwoju zdolności umysłowych, jest w stanie łączyć pewne oznaczone dźwięki z oznaczonemi również myślami. O przypuszczalnym początku czyli powstawaniu mowy ludzkiej, zamierzamy na teraz, gdyż przedmiot ten w ścisłym pozosta-

je związku z wiadomościami odnoszącemi się do pochodzenia człowieka, z którymi mamy zamiar zapoznania czytelników w następnych dopiero szkicach.

Według Fryderyka Müllera (*), znakomitego antropologa Wiedeńskiego, Bopp był głównym twórcą nauki porównawczej języków, w zastosowaniu do antropologii i etnologii. Dzięki poszukiwaniom tego uczonego jesteśmy już dzisiaj w stanie wykazania pokrewieństwa wielu ludów opierając się na powinowactwie ich języków. Stopień zaś doskonałości danego języka pozostaje w ścisłym związku z rozwojem umysłowym ludu, który tym językiem mówi; stopień zaś życia umysłowego każdego człowieka jest również w związku z rozrostem jego mózgu, od rozrostu znowu mózgu zależne są pewne zmiany, modyfikacje w budowie czaszki. W poprzednich zaś szkicach wykazaliśmy iż właśnie owe modyfikacje w budowie szkieletu w ogólności, a w szczególności czaszki, stanowią jedną z najgłówniejszych podstaw przy podziale całego rodzaju ludzkiego na pojedyncze podrodzaje czyli rasy. Badanie przeto języków jakimi mówią ludy należące do rozmaitych rass, stanowi niezbędne uzupełnienie samej nauki o rassach ludzkich. Niedoskonałość języka jakiegokolwiek ludu jak np. brak słowa u Tagalów, mieszkających na wyspach filipińskich, lub niezbędność przy mówieniu łączenia słowa z rzeczownikiem albo przymiotnikiem, zauważona u niektórych dzikich plemion wykazuje niższy stopień ich umysłowego rozwoju; do tejsze samej kategorii należy zaliczyć brak wyrazów służących do oznaczenia pewnych pojęć o ile bowiem w mowie jakiego ludu nie ma własnego wyrazu na określenie danego pojęcia, o tyle możemy z pewnością twierdzić, że w umyśle

tego ludu nie wytworzyło się owo pojęcie, skoro go oznaczyć nie umie.

Na tegorocznym kongresie francuzkiego stowarzyszenia w celu postępu nauk, odbytem na początku Września w Bordeaux, na posiedzeniu oddziału antropologicznego, panowie Sansas i Hovelecque mówili o względnej trwałości języka literackiego i mowy ludowej. Owoż pierwszy ze wzmiankowanych mówców sądzi, że przy poszukiwaniach antropologicznych odnoszących się do pochodzenia jakiegokolwiek ludu, należy przywiązywać większą wartość do mowy ludu prostego, nieokrzesanego, do języka niemającego literatury, niż do samych nawet rysów fizjonomii badanego ludu. Zdaniem mówcy nauka języka w powyższym celu przedsięwzięta, powinna się odbywać wśród najniższych klas ludności, pomiędzy ludem rolniczym wiejskim, którego mowa ulega zazwyczaj małym przeobrażeniom, wskutek usposobienia więcej daleko zachowawczego niż u wykształconych ludzi. Jako przykład wymienia mówca Biturgów (les Bituriges) osiadłych w Bordeaux i jego okolicach. Lud ten pochodzenia celtyckiego, musiał mówić przed najściem Rzymian, językiem celtyckim. Od czasu jednak jak miasto Bordeaux stało się stolicą Akwitanii, ludność jego przyłączyła się w zupełności do cywilizacji rzymskiej. Wielobóstwo łacińskie zastąpiło miejscową religię druidów, wyżsi urzędnicy, naczelnicy wojskowi byli rzymianami, język rzymski stał się językiem urzędowym. Od owego czasu wyższe klasy społeczeństwa poczęły się stosować do zwyczajów i obyczajów rzymskich. Pomniki epigraficzne wykazują w jaki sposób nastąpiła owa przemiana. Gallowie zachowali najprzód swoje barbarzyńskie nazwy, później zaczęli im dodawać przedimki i przyrostki rzymskie, a w końcu nazwy te stały się w zupełności łacińskimi. Od owego czasu lud nieoświecony nie mający podobnego rodzaju interesów jakie

(* Patrz *La Revue Scientifique*. 1872. Nr. 42. Str. 996.

popychały możnych do zlania się ze zwycięzcami, nie dążący do podziału władzy i korzyści tych ostatnich, znalazł się opuszczonym i pozostawionym samemu sobie, z tego więc powodu nie mógł zachowywać w całej czystości języka narodowego, ponieważ pozbawionym został naturalnych przewodników swoich, uczonych i w ogóle ludzi którzy odebrali lepsze wykształcenie naukowe. Lud ten jednak zachował słownik swój, niezbędny do powszedniego codziennego żywota, lecz ów zbiór wyrazów o tyle tylko był w stanie przechować, o ile różne uboczne okoliczności na to pozwalały, bądź wymawiając z łacińska niektóre wyrazy, bądź też wprost zapożyczając z tego ostatniego nowe wyrazy. Ztąd powstało nowe narzecze zwane wiejską łaciną (latin rustique), które nie jest jak mylnie dawniej sądzono zepsutym językiem starożytnych rzymian, lecz tylko stanowi zwyrodnienie pierwotnego języka. Z przytoczonego więc przykładu mówca wyprowadził wniosek, że wskazówek odnoszących się do pochodzenia danego ludu, poszukiwać należy w narzeczu niewykształconego ludu prostego wiejskiego, nie zaś jak to niektórzy dotąd mniemali, w pomnikach piśmiennych wykształconych klas ludności.

Według p. Sansas następujące zachodzą stosunki pomiędzy antropologią i etnologią a nauką języków czyli lingwistyką.

1. Jeżeli lud jeden podbija drugi, ażeby się w kraju tego ostatniego na dobre osiedlić, wówczas wyćpani bywają dawni mieszkańcy a z nimi razem ginie ich język właściwy. W podobny sposób postępowały ludy przedhistoryczne, jak na przykład Hebrajczycy w epoce zawojowania Palestyny.

2. Jeżeli lud zwycięzki stara się tylko powiększyć swoją potęgę, i dobrobyt, lub też gdy przedstawia bitny, lecz nie wielki liczebnie zastęp wojowników w porównaniu do mieszkańców podbitego kraju, wówczas mogą zajść odmienne okoliczności. Tam gdzie zwycięzcy osiadają w zabranym kraju, w przeważnej nad zwyciężonymi liczbie, lub gdy pod względem cywilizacji stoją wyżej od zwyciężonych, wówczas pochłaniają tych ostatnich, język którym mówią staje się jedynym językiem narodowym. Podobny wypadek miał wówczas miejsce, gdy Rzymianie zdobyli Galię. Inaczej się dzieje jeżeli zwycięzcy są stosunkowo nieliczni, lub gdy zwyciężeni są więcej ucywilizowani od zwycięzców; wówczas zwykle język zwyciężonych pochłania w sobie język zdobywców. Tak np. Wizygotowie, panowie Hiszpanii i południowej Francji bardzo mało wpłynęli na zmianę języka i urządzeń społecznych zdobytych krajów, natomiast sami z czasem utracili swoją narodowość i język pod wpływem Gallo-Rzymianów. Południowa znowu Francja zdobyta, lecz nie pochłonięta przez Franków, zachowała pod koniec zeszłego stulecia swoje obyczaje, instytucje i języki.

Anglicy, którzy panowali w Gujannie, w ciągu czterech wieków, na mocy prawa dziedziczości, nie pozostawili po sobie żadnej naleciałości wśród miejscowej ludności, gdy tymczasem Rzymianie w tymże samym przeciągu czasu zupełnie zmienili postać kraju którym udało im się zawładnąć.

3. Gdy lud zwyciężony nie wchodzi w żadne stosunki i związki ze zdobywcami, wówczas zachowuje język swój przez czas bardzo długi, gdyż z jednej strony wyrazy swojskie przechowuje lud prosty, grammatykę zaś uprawia wykształcona część narodu.

Przykłady dopiero co przytoczonej zasady, przedstawia nam język Basków we Francji, po-

nieważ władze miejscowe mówią nim urzędowo na politycznych zebraniach, a duchowieństwo wygłasza w nim kazania i używa go do wszelkich stosunków z ludem.

Podobnie dzieje się we Francji z językiem Katalońskim. W języku tym odbywają się kazania tak w Barcellonie, jak i okolicznych wioskach, a władze miejscowe wydają w nim polecenia i rozporządzenia podwładnym swoim.

(d. n.)

RAMULTOWIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 92).

VIII.

Herman zobaczywszy magazyn win naprzeciw pociągnął go z sobą, znalazł izdebkę osobną i zaczął podać węgryzna...

Nektarem on się wydał staremu Szerszeniowi, lzy wdzięczności wycisnął mu z oczów, dawno, dawno nikt go tak po pańsku nie częstował—czuł się przejętym.

— Pan graf, rzekł—umiesz prawdziwie oszacować i świątynie i służy Melpomeny, mości dobrodzieju... bo to dla ludzkości instytucja wielka... *castigat*, mości dobrodzieju—*mores*. Za zdrowie protektora sztuki dramatycznej i artystów... Ledwie wypił już mu Herman nalał drugi.

— E! panie artysto, odezwał się—dla czegożes to tak był dla mnie srogim a nielitościwym, gdy w myśli niósł hołd uczuć i kwiatów pięknej Violi.

Szerszeń się zmięszał niespodziewanym tém wspomnieniem aż mu głowa wzrosła w ramiona...

— Mości dobrodzieju panie grafie! odezwał się skonfundowany. To trzeba znać, skład okoliczności, jak mówi mistrz—wedle stawu grobla... Są obowiązki które człek spełnia, choćby gardłem nałożyć przyszło... Jest to dziewica powierzona pieczy naszej, niby to mojej i pani Pawłowej—osoba wielkiego talentu... która cienia korpucy się lęka...

— Ależ ja nie miałem żadnych złych zamiarów! i nie mam ich, a tyle ona wemnie wzbudziła sympaty.

— I godną jej jest! przerwał z zapalem Szerszeń... dziewica udarowana nader szczęśliwie, będzie to kiedyś ozdoba sceny stołecznej—panie grafie, osoba uczuć delikatnych... chociaż ojciec, bo ojca znałem, szelma pijaczysko był ostatni cośmy go na klucz zamykać musieli, gdy mu grać przypadło... ale też był artysta osobliwy. Pił to pił... a grał... chyba już nie można lepiej... nieraz łzami zlewałem rękopism... takiem się śmiał gdy genialnie począł Ieka zapieczętowanego przedstawiać.

Herman słuchał usiłując utrzymać poważną twarz i uważne oblicze. Szerszeń raz puszczonego... paplał ani go było powstrzymać.

— Omyliliście się przypisując mi jakieś zwozdzielskie intencje, rzekł w końcu—ja tylko przez miłość dla sztuki uczyć chciałem jej kapłankę.

— Kapłankę! powtórzył Szerszeń—slicznie powiedziano—kapłankę... ona jest w istocie kapłanką sztuki... ale to dziecko... niewinności i delikatności pełne, (Szerszeniowi wino płałało już wyrazy).

— Spodziewam się, że inną razą, gdybym przyszedł... mój panie Szerszeń, wy mnie za drzwi nie wyszlecie.

Stary sufler zamilkł nagle; wino mu zgorzknęło, uczył podstęp—odstawił lampkę wstał od stołu i przybrał postać tak poważną jak gdy grywał monarchów na warszawskiej scenie.

— Panie grafie, rzekł—święte jest uczucie obowiązku... przepraszam,—ale sumienie by mi nie dozwalało pobłażać... nigdy! Raczej—śmierć raczej męczarnie niż honor postradać.

Herman się zaczął śmiać i uściśnął go...

— Idźże sobie z Bogiem rzekł, nie mamy co dłużej gadać z sobą...

Oslupiały Szerszeń... którego zostawił samego z lampą i sumieniem, obejrzał się... wypił wino, otarł usta i z zadowoleniem a dumą opuścił świątynię Bachusa... spóźniwszy się do Sylwana już go w domu nie zastał... chłopcu tylko w długiej dobranemi wyrazy wyrzeczonej mowie oznajmił iż Viola upraszała pana Sylwana, aby ją był łaskaw wolną chwilą—odwiedzić...

Zabierając się całą swą przygodę powierzyć żonie i wykazać jej heroizm z jakim się oparł pokusie—Szerszeń z wolna zażywając tabakę, ze spokojnym sumieniem powrócił do domu.

IX.

Przybycie starościncj z Hanną—poruszyło całą młodzież i wszystkie rodziny, których latorośle mogły mieć jakakolwiek nadzieje zbliżenia się do pana Aleksandra Junoszy i jego córki. Ile nowych surducików i fraków pozamawiano u krawców wyliczyć trudno; jak starannie badano gdzieby te panie spotkać i widzieć można jak się weisnąć do ich domu—domysli się każdy co wystąpienia na świat nowy—młodej pięknej i bogatej dziedziczki był kiedy przytomnym.

Starsi liczyli na wpływy, młodzi przeglądali się w zwierciadłach, muskali wasy i wzdychali. Szczególniej powabne—trzeba to wyznać ze smutkiem, były miliony panny Hanny—o nie się też najstaranniej dowiadywano. W tym wieku niezmiernie praktycznym związek małżeński jest przedewszystkiem—dobrym interesem, rachuje się dochody—reszta dodatkowo i podrzędnie przychodzi. Zalety panny, jej piękność, wykształcenie, charakter nie jeden raczej za przeszkody i ciężary uważał niż za ponętę. W kołach poważnych ojców, matek, dziadków i krewnych, wiedziano tak dokładnie co panna Hanna mieć może po najdłuższym życiu ojca, po najdłuższym życiu (forma zwyczajna) babki w ziemi i kapitałach jakby urzędownie stan ich majątkowy zbadano. Znano położenie dóbr, gatunek ziemi, dochody, ciężary i bilans wypadł tak świetnie iż Hannę ogłoszono za najpiękniejszą—*partye* jaka się w tych czasach nastęrczyć mogła. O Hannie mówiono też czasami, lecz z pewnym ubolewaniem nad wpływami które—jak się domyślano, nad umysłem jej zapanowały. Godziło się wszysecy na to iż należało przez babunię oddziaływać na wnuczkę, starać się usunąć Lelię, a nadewszystko jej brata, i czuwać nad płochym Olesiem.

U pana prezesa wieczorem nazajutrz cichą radę złożono w kątku salonu—byli sami ludzie poważni!

— Jest to okoliczność, rzekł Paprzyca na pozor małej wagi—panna na wydaniu, lecz zważywszy towarzyszący jej skład rzeczy... przedstawia się inaczej. W tym stanie społeczeństwa wojującym w jakim my się znajdujemy, gdy wszelkie siły gromadzić trzeba ku obronie porządku i zdrowych zasad—majątek stanowi dźwignię—wypuścić go z rąk ludzi dobrze my-

ślących a dać we władanie tym co go przeciwko nam użyją—byłoby niedarowanym grzechem.

Panna musi wyjść za jednego z tych co do naszego obozu należą. Ręka jej może być nagrodą zasługi... środkiem do podtrzymania imienia—słowem... my nią dysponować powinniśmy..

Niektórzy zatem kandydatów zaczęli przedstawiać, między którymi był i Lubicz... był i hrabia Ramułt, byli i inni młodzieńcy.

Kuczaba uczynił uwagę iż Sylwan, dla którego, jak słyszał, panna miała dawną sympatyę—niebezpieczną stawał się przeszkodą, do przeprowadzenia planów...

Narada była długa, i ograniczyła się do małego kółka adeptów—a ostatecznie postanowiono wciągnąć nazajutrz Dołęgę i z nim o tém pomówić, jako z przyjacielem domu. Dołęga mógł być bardzo użytecznym.

W tym rodzaju podziemnych robótkach, miał zrećność, znał drogi, umiał nie okazując po sobie i ludźmi obracać i przekonania szepnąć i plotki jak miny podsadzać lepiej niż dziesięć starych dewotek. Zgodzono się więc na to iż bez Dołęgi obejść się nie podobna. Dano mu przez jednego z afiliowanych schadzkę w najpierwszej restauracji na śniadaniu; zalecając aby przyszedł sam i Olesia z sobą nie brał.

Jakoż około jedenastej spiskowi zadysponowali już byli bifsztyki, gdy pan Maryan ze swym śmiechem potężnym i szerokimi plecami się pokazał. Cicho dotąd dosyć siedzące towarzystwo, natychmiast się ożywiło, pozamykano drzwi na wsze strony. Dołęga którego używano często i do wielu spraw wielkiej wagi, gdzie chodziło o to aby szwów nie było widać.. poznął zaraz iż śniadanie jeść będzie nie darmo. A śniadanie jak obiad i wszystko co szło przez usta do żołądka było dla niego rzeczą najwyższej wagi. Nim więc zdjął rękawiczki i siadł—zmierzywszy tylko okiem przytomnych po których doborze już się domyślał mniej więcej o co iść mogło, Dołęga najprzód się dowiedział co zadysponowano na śniadanie, czy bifsztyk miał być angielski i czy wino czerwone zagrzać kazano. Uspokojony w tym względzie usiadł dopiero poprawiając włosów i zabierając się słuchać sprawy.

Panowie ci nie przystąpili jednak do rzeczy od razu... przebaknięto o tém i owém, aby przedmiot najważniejszy przyszedł na stół jakby od przypadku.

— Słuchaj no Maryanie—odezwał się Paprzyca po obojętnym wstępie—ty jesteś pono jak domowym u Olesia—znasz go dawno.

— Oles przyjaciel mój od szkół... serdeczny człek—niemylicie się—wołał Dołęga—nikt się większym na niego wpływem nie poszczyci—na to wam daje słowo...

— No—wiesz co—dodał pierwszy—idzie o rzecz ważną... po tobie społeczność nasza wymaga usługi, którą ocenić potrafi... Aleksander Junosza ma córkę na wydaniu... panna milionowa...

— Rozumiem! ach! tego mi długo wywodzić nie potrzeba—rozumiem! nie godzi się, by i panna się zmarnowała i majątek w złe poszedł ręce.

— Mądrzej głowie, dosć na słowie—otóż to jest—dodał Kuczaba. Cóż za człowiek właściwie ten twój pan Aleksander, my go tu mało znamy.

— Ale najpocziwsze stworzenie jakie sobie wyobrazić możecie! Nie święty, nie anioł, nie każdemu nim być dano—lecz człowiek prawych zasad, szlachcie całą gębą...

— A głowa? spytał Paprzyca.

— No, głowa? głowa! odezwał się Dołęga—

głowa nie jest zbyt silnie uorganizowaną—ale człek nie głupi... Lubi zjeść dobrze i wypić smaczno, zagrać trochę... a... choć łysy, jeszcze się i poumizgać... Jeśli chcecie to są jego wady.

— Ludzkie rzeczy! szepnął ktoś z boku... ale nie demokrata, nie żaden marzyciel, nie radykał.

Dołęga się rozśmiał.

— A! nie! zawołał, brzydzi się tém jak wszyscy ludzie uczeni—w duchu konserwatysta...

— A babka, Starościna spytał Ostoja.

— Osoba pobożna, dobroczynna... spokojna, do wnuczki przywiązana.

— Kto ma wpływ na nią lub mieć może.

Zamyślił się Dołęga.

— Ktoś poważniejszy z duchowieństwa rzekł, hierarchię społeczną szanuje bardzo...

— A panna? dokończył Paprzyca.

Na to pytanie długo odpowiedzi nie było, namyślał się Dołęga biorąc z tacy kieliszek wódki który właśnie przyniesiono.

— Panna? rzekł w końcu—panna! ja najmniej ją znam, a zdaje mi się, że węzeł kwestyi jest tu właśnie. Zdaje mi się że ona ma więcej rozumu i determinacyi niż oni wszyscy razem.

Milczenie trwało chwilę. Paprzyca szepnął.

— Na ten rozum by ją wziąć można, podnosząc go... sławiąc... pochlebstwo jest wielkim narzędziem, gdy dobrze zaostrzone...

Dołęga brał zakąskę właśnie i nie spieszył ze swemi uwagami.

— Któż tam wpływ ma w ogóle? zapytał Ostoja...

— Jeśli chcecie to ja—przez żołądek i gardło Olesia do jego serca odezwał się Dołęga.

— Ale czy Oles tam wszechmogący?

— Wszech—nie, ale wiele mogący to pewna.

— Drudzy mówią że wcale nie może nic.

— Ale! przesada ozwał się Dołęga—ojcem panny jest.

— Rozumiesz więc o co idzie—zagadnął Paprzyca.

— A jusciz—rzekł pan Maryan—rzecz zresztą jasna i łatwa do pojęcia... Jacyż są kandydaci. (d. c. n.)

OBRĄZ

Wychowania publicznego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 92).

ROZDZIAŁ VI.

SZKOŁA GRAMATYCZNA—SZKOŁY WYŻSZE—AKADEMIE.

Wszystkie przedmioty rozpoczęte w szkole początkowej, ciągną się dalej w szkole gramatycznej (grammar-school). Szkoły gramatyczne istnieją częścią w osobnych gmachach, częścią w tych samych gdzie i początkowe. Urządzono je dopiero od lat kilku systematyczniej co do rozkładu przedmiotów, a to na wzór planu ułożonego w New-Yorku. Do szkoły gramatycznej przyjmują się dzieci od 9—10 lat wieku, a kurs trwa lat 4 do 5. Uczą tu czytać, gramatyki angielskiej rozumowanej, o definicyach, etymologii, robią ćwiczenia, wykłada się geografia, historia i arytmetyka. Nauka rzeczy idzie dalej, podobnie i nauka moralności. Kurs roczny dodatkowo dzieli się na dwa oddziały: dla dziewcząt i chłopców. Dziewczęta słuchają: retoryki, historii starożytnej i nowożytnej, literatury, algebry, geometrii, fizyki, historii naturalnej i astronomii. Chłopcy słuchają tych samych przedmiotów, ale wyżej idą z algebrą i geome-

tryą, nadto mają chemię, rysunek architektoniczny i budowę maszyn, oraz buchalteryę. W niektórych prowincjach klasy gramatyczne i kurs dodatkowy są wspólne dla uczniów płci obojga.

W szkole gramatycznej podobnie jak i początkowej, jest muzyka wokalna, a nadto nadzorca może upoważnić do wykładu języka łacińskiego, francuzkiego i niemieckiego.

Pod nazwą szkół wyższych (high schools) rozumieją się zakłady naukowe, w których skala ukształcenia rozpoczętego na dwóch niższych stopniach, posuwa się wyżej. Szkoły tego rodzaju zwykle dzielą się na dwa oddziały: *angielski* i *łaciński*; w pierwszym nauki starożytne nie wiele zajmują miejsca, za to górą idą nauki doświadczone, jest więc niby podobnym do szkół realnych; w drugim przeważają nauki klasyczne i kierunek jakbyśmy nazwali humanitarny. W jednych prowincjach dwa te działy są odróżniane, w innych stanowią jedną klasę; ale ponieważ przedmioty się wykładają w różnych godzinach, uczniowie mogą wybierać te ku którym czują więcej skłonności. Przedmioty w szkołach wyższych wykładane są prawie te same co i w gramatycznych, lecz metoda już kunsztowniejsza, zastosowana do bardziej rozwiniętych umysłów. Wszędzie starają się wyłożyć to co stanowi istotę danej nauki, zostawiając szczegóły zakładom specjalnym, które obecnie szybko się mnożą obok szkół już istniejących.

Prawo wymaga żeby szkoła wyższa była otwarta przynajmniej podczas 9 miesięcy (rocznie) w każdym miesiącu liczącem 500 rodzin. Niestosowanie się do prawa pociąga surowe kary. Otwarcie szkoły wyższej, przyciąga mieszkańców. W Norwiche po otwarciu *wolnej akademii*, ludność się podwoiła w lat kilka. Szkoła taka wywiera zbawienny wpływ na inne szkoły. W niej sposobią się przyszli nauczyciele.

Oprócz szkół *wyższych* znajduje się w Unii mnóstwo szkół z takimże programem naukowym jak w wyższych, które noszą nazwę *akademii*. Są one bądź wcielone do szkół rządowych, bądź niezależne. W pierwszym razie pobierają wsparcie z ogólnego funduszu szkolnego. Zarządza nimi zwykle rada opiekunów, a oprócz tego podlegają wizytom inspektorskim. W akademiach ukształcenie dziewcząt posuwa się wyżej niż w szkołach wyższych. O ich liczbie można sądzić ztąd, że w prowincyi new-yorskiej znajdowało się w roku 1868 takich akademii 445 z 34,851 uczących się. Z tej cyfry 11,896, to jest chłopców 5,677 i dziewcząt 6,219 w wieku od lat 15—18 uczęszczało na wykłady klasyczne.

W akademiach wykładają się na pięciu kursach następujące przedmioty:

1. Kurs przygotowawczy: arytmetyka, buchalterya, gramatyka angielska i geografia;
2. Kurs: matematyka, fizyka, algebra, geometrya, trygonometrya, miernictwo, astronomia, inżynierya cywilna, technologia, perspektywa, żegluga;
3. Kurs: języki starożytne i nowożytne, starożytności greckie i rzymskie;
4. Kurs: Historia naturalna, fizjologia, hygieny, botanika, zoologia, mineralogia, chemia, geologia, meteorologia;
5. Kurs: Nauki moralne i polityczne, krytyka, logika, teologia naturalna, zasady chrystyanizmu, prawo konstytucyjne, ekonomia polityczna, zasady pedagogiki.

Program tak rozległy mógłby niejednego przestraszyć, ale uczniowie nie są obowiązani słuchać wszystkich wykładów. W akademiach podobnie jak w szkołach wyższych uczniowie

mogą wybierać co im się podoba i godziny odpowiednio są ułożone. Zdawałoby się, że taka swoboda dla młodych może być zgubna, a jednak nauczyciele muszą miarkować zapal młodzieży, taka jest ochota do ogarnięcia wszystkiego.

(d. c. n.)

ś. p. HENRYK SZTARK.

Pożytecznym członkiem społeczeństwa jest

wości mechaniki stosowanój. Wysielenie w tój potrójnej pracy pomysłowości, stosowania i dokładania własnej ręki przyczyniło się też może wraz z zasobami choroby piersiowej do skrócenia dni życia jego; niech więc pozostanie pamięć tych wysilen ku przykładowi i pożytecznemu naśladowaniu i rozwinięciu tego czego uskutecznić już niezdolał.

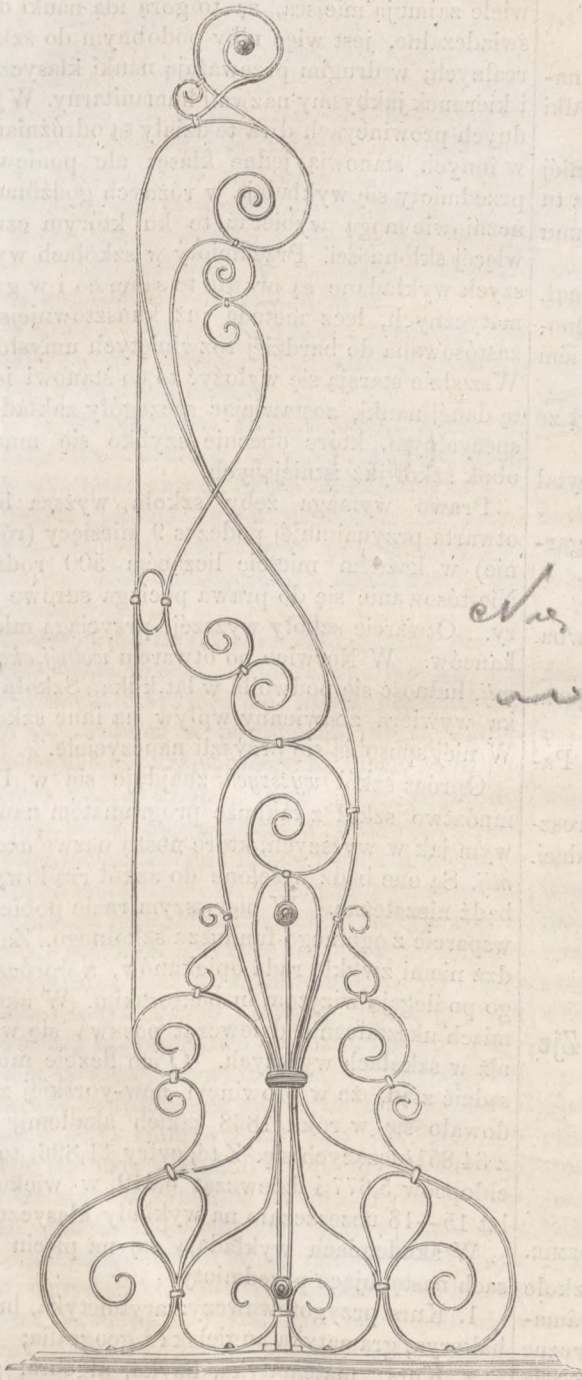
W r. 1865 Henryk Sztark jako majster ślusarski prowadził niewielką pracownię pomieszczoną w suterenie domu ulicy Brackiej i Widok.

skonałości i wytworności wyrównywającą naj-
ozdobniejszemu wyrobom belgijskim i francuzkim.

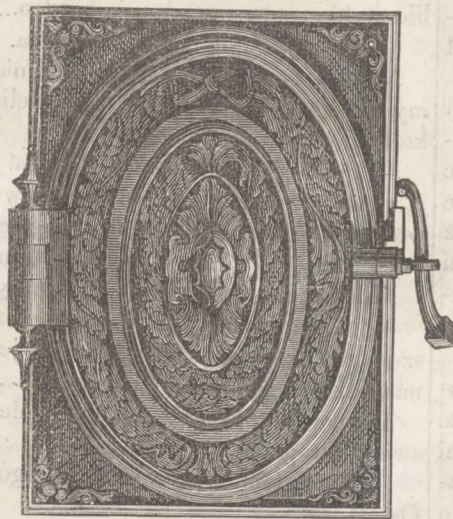
Wystawa rolnicza odbyta w Warszawie w r. 1870 r. w dziale wyrobów z lanego i kutego żelaza nie miała lepszych i wytworniejszych okazów jak drzwiczki hermetyczne, obicia do drzwi i okien, balustradę kutą toczoną i wieszadła kute Sztarka (ryc. Nr. 1.)

Dotychczasowy ciasno pomieszczony zakład niewystarczał już licznym zamówieniom drzwiczek hermetycznych, które przemysłowiec ten dostarczał wszędzie, gdzie o wytworność z do-

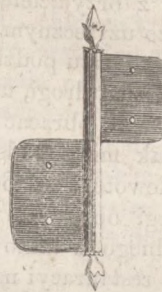
Nr. 1.



Nr. 2.



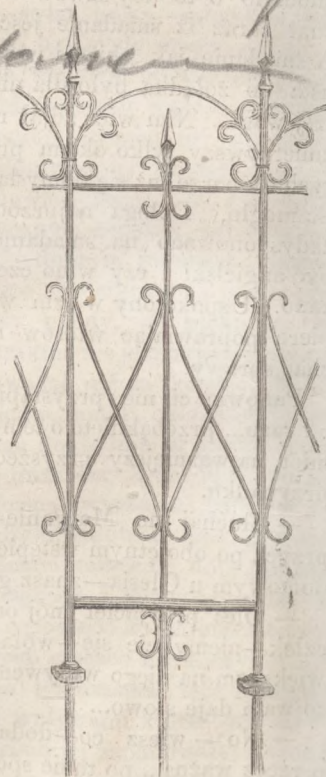
Nr. 5.



Nr. 3.

*et. Pr. 1919. benedictus Symonit manu
meoys. lino pod Koloniam*

Nr. 4.



1) Wieszadło kute. 2) Drzwiczki. 3) Krata kuta. 4 i 5) Okucie do okien.

każdy kto w jakikolwiek sposób pracą, zabiegłością, pomysłowością do bogactwa i rozwoju czy to intelektualnego czy moralnego czy materialnego przyczynia się.

Zwrócimy tu więc uwagę, objaśniając odpowiednimi rysunkami, na krótkie życie rękodzielnika który własnymi siłami przyłożył się do rozwoju ślusarskich wyrobów oparłszy się z jednej strony na zaniedbanej gałęzi ozdobnych wyrobów kutych, z drugiej włączając w koło rutynicznego wyrobnictwa zdobycze nowożytnego przemysłu odlewnictwa metalowego i pomysło-

Miałem sposobność ocenić wówczas jego uzdolnienie mechaniczne poruczając mu do wyrobienia przyrząd dość skomplikowany który podług danego rysunku wyrobił z dokładnością niepozostawiającą nic do życzenia. Poczował się znać sam na siłach do wyjścia z jednostajnej rutyny wyrobnictwa codziennego, w krótkce bowiem potem w tymże niewielkim zakładzie zaczął wyrabiać drzwiczki hermetyczne do pieców węglem opalanych a w ciągu paru lat własnym doświadczeniem i pomysłowością doprowadził wyrób ten do do-

kładnością wyrobu dbano, sam też zamiłowaniem w pracy i postępie popychany, rozwijając dalej pomysłowość w ułatwianiu sposobów wykonywania cząstek składowych, specjalnego swego wyrobu drzwiczek, otworzył w obszernej miejscowości przy ulicy Świętojerskiej zakład w którym tokarnie i własnego pomysłu prassy śrubowe do wytłaczania nitów pomiescił, poświęcając wszelkie zyski na coraz nowe rozszerzenie i ulepszenie tój małej już fabryki której potrzeba było tylko jeszcze jednej pomysłniejszej chwili, jednego małego kroku naprzód,

aby ze skromnego warsztatu ślusarskiego wyszła na zakład parowym motorem poruszany. Spełnienia tych dążeń i marzeń nie dożył już ś. p. Sztark—pozostawił tylko więc posobie uto-

drzwiczki do pionowego osadzania w stylu ostrołukowym ryc. Nr. 2., kratę kutą Nr. 3. i okucia do okien z bronzowymi antabami Nr. 4 i 5 o mechanizmie zamykającym własnego jego pomysłu.

Sztark tej gałęzi wyrobów do doskonałości i ozdobności wytworniej, atoli dostrzegłszy zalety i wyższość ich nad odlewami, nie wahał się zrobić na tem polu krok w Warszawie pierwszy po



DZIADEK I WNUK. Kopia z obrazu Heyna.

waną dobrze na tem polu ścieżkę, przykład i dobrą sławę.

Z ostatniej seryi wystawowych okazów Sztarka przeznaczonych do Moskwy, umieszczamy tu

Jedną z najważniejszych zasług jakie Sztark w ślusarskiem rękodziele położył jest powołanie do życia zaniebanych wyrobów ozdobnych z żelaza kutego. Niedoprowadził wprawdzie

kilkudziesięciu letniej przerwie.

Krok ten uważać należy za ważny w rękodzielnictwie ozdobnem łączącym w sobie siłę z trwałością i pięknością; za ważny uznano go

też wszędzie w Europie, tak iż na wystawach przemysłowych dziś stanowi osobny dział słu- sarszczyzny ozdobnej powracającej na dawne tory wytwarzania pięknych kutych bram, krat i ballustrad a zaprowadzającej ulepszenia w zam- kach i okuciach, któreby w kraju naszym ob- szerniej też uprawiane być mogły, gdyby przy wykonywaniu większych budowli pomnikowych niezwracano oczu w odległe kraje i z za rzek i gór niesprowadzano tego co na własnych kowa- dłach i przy własnym ognisku równie dobrze wykonanym być może.

Henryk Sztark urodził się w Warszawie i tu w 44 roku życia umarł w Październiku roku bieżącego.

WRAŻENIA Z WYSTAWY SZTUK PIĘKNYCH.

Dokończenie. (Ob. Nr. 92).

III.

Obraz jaki nadesłał z Krakowa p. Wł. Gep- ner, treścią wkracza w dziedzinę historii, przed- stawia bowiem *Jadwigę po ucieczce Wilhelma*.

Jak dramat koroną poezji tak kompozyeya historyczna koroną jest malarstwa. W niej to wypowiada malarstwo ostatnie swe słowo; przez nią najsilniej na serca i umysły oddziaływa. Ile warunków jednocześnie w sobie winien rodzaj ma- larstwa historycznego, nie tu miejsce objaśniać. Definicje zresztą nie wiele zaważą tam, gdzie tylko dla mistrzów otwarta jest droga. Że zaś p. G. mistrzem nie jest, o tém on sam najlepiej wiedzieć musi.

Jedyną zaletą obrazka o którym mowa, jest poprawny (z małemi wyjątkami) rysunek i świe- żość kolorytu. Zaś, o prawdę historyczną, o cha- rakter epoki, o plastyczne przedstawienie drama- tu rozgrywającego się w sercu królowej, słowem o to wszystko, co mogłoby właściwie stworzyć obraz historyczny — nie pytajcie. Jadwiga ni- czem nie przypomina ideału królowej, jaki nam dzieje nakreśliły. Gwałtowny i patosu pełen ruch jęj przystałby raczej aktorce ze szkoły pan- ny Rachel, aniżeli tój, która własne dobro dla dobra narodu poświęca. Jasnowłosa dziewczyna klęcząca obok niej z koroną, jest figurą bez znaczenia. Starca wreszcie mina wyraża tylko pospolite zafrasowanie.

Żałować przychodzi, że p. Gepner, który jest artystą nie bez talentu, dobrowolnie szukał Ika- rowego losu. On i jemu podobni o tém winni pamiętać, że nie wszyscy pracujący na niwie sztuki mają być już orłami. Zamiast kusić się o lo- ty podniebne, niech uprawiają raczej czarną a pszeniczną ziemię naszą — wyrosć bowiem z tego może pożytek dla świata, a i kęs chleba dla nich...

Niech sobie za wzór postawią choćby... pana Loefflera. Artysta ten szuka treści obrazów do- koła siebie, studjuje pilnie tę księgę, w której losy całej ludzkości Bóg krwią i łzami zapisał, księgę, która nosi tytuł: „życie.” Zamiast suszyć mózg nad wyszukaniem niepowszedniego przed- miotu, bierze to co mu się samo nasuwa przed oczy. A że wzrok jego nie zbłąka się w tém mnóstwie scen kalejdoskopowych, to dla tego, że nauczył się na nie patrzeć. Kto bowiem tę sztukę raz posiędzie nie zapomni jęj nigdy i ni- gdy też na głód wrażeń i na pragnienie pomy- słów skarżyć się nie będzie. Rychlej mu farb na paletrze lub płótna na sztalugach niż treści poczciwej zabraknie.

Pan L. nie rzadko w kompozycjach swoich

moralizuje. Umie łączyć w sobie wdzięk arty- sty z kaznodziejskiem powołaniem etyka. Robi zaś to bez dociągania form plastycznych do po- stawionej *a priori* tendencji, owszem, z łatwością i swobodą, która zdaje się dowodzić, że między *pięknem* i *dobrem*, wyraźnej Bóg niepostawił gra- niczy...

Ostatnia tego artysty praca jak i poprzednich kilka, potrąca jedną z kwestyj społecznych, bie- żących. Przedstawia mianowicie: kobietę *opuszczoną*. Biedna ofiara miłości mdleje w przed- sionku kościoła, gdy tymczasem przed wielkim ołtarzem, dawny jęj kochanek zamienia obrącz- ki z *inną*... *Oh, dolor!* — Jakiś starzec o szlache- tnym wyrazie twarzy, ojciec jęj zapewne, pow- strzymuje mdlejącą, żeby nie padła na kamienną posadzkę, jednocześnie rzuca w głąb kościoła spojrzenie pełne boleści i oburzenia... Dwie te grupy: jedna szczęśliwa i bezpieczna pod tar- czą sakramentu i prawa, druga biedna, która od świata nie prócz jadowitego śmiechu lub jado- witszej nie dostanie litości; dwie te grupy tak róż- ne na pozór, a tak ściśle niemi wspólnych losów ze sobą związane, dziwny smutek w sercu pa- trzącego obudzają. Łzy cisną mu się do oczu, gdy myśli ile to takich „opuszczonych” błąka się po bożym świecie z rozdartą piersią i zakrwawio- nym sercem, gdy przypomina sobie ile to aniołów płacze swych skrzydeł złamanych i utra- conego rajuu...

Obraz ten nietylko zajmuje ale i *uczy*.

Usterki techniczne nie istnieją tu prawie, w obec harmonijnej i pięknej całości.

* * *

Znajduje się w salonie wystawy dziwne płó- tno bez ram, wyglądające o kilkanaście kroków jak antyk, a bliżej jak klasztorna malatura, płó- tno niepodobne do żadnego z wiszących obok, za- smarowane szaremi farbami, oryginalne, surowe..

Obok tego płótna jedni przechodzą nie za- trzymując się wcale. Inni, którzy odczytali kar- tkę, stają i patrzą pilnie, ale twarz ich żadnego nie zdradza uczucia. Inni wreszcie, zbierają się w gromadki, radzą, gestykują gwałtownie twa- rzą i rękami i odchodzą — gniewni...

Ja przed tém płótnem przemarzyłem kilka chwil długich... Treści marzeń mych wyjawiać nie będę. Opowiem wam lepiej treść płótna.

Przedstawia ono młodą kobietę patrzącą wprost na widza. Twarz tój kobiety ładna, ale smutna. „Wicher przeciwności” zwiął z niej wiosenną karnację. Oczy nie mają już dyamentowego blasku, jakim skrzyły się dawniej. Na pobła- dłych ustach błąka się pacierz nieskończony...

Postawa jęj prosta, a twarz przez wysiłek we- wnętrzny, pogodna. Tój kobiecieć snąc niewol- no robić lica „zwierciadłem duszy” — nadto wie- le oczu pilnych, a podejrzliwych za myślami jęj śledzi i skrytości serca z twarzy dojsć pragnie. Musi być ona przytém strażniczką jakichś ołta- rzy świętych; jakiegoś Znicza niegasnącego... Padać jęj, choćby pod brzemieniem krzyża, nie- wolno.

Twarz tój kobiety blada i powietrzna, rysuje swe kontury na tle makaty starj, Barwy ma- katy wypłowiałe; rysunek o przedwiekowem świadczący pochodzeniu. Z fałdów jęj wychy- lają się postacie do marzeń gorączkowych podo- bne. Jakiś rycerz na koniu, którego rysunek krzyżackie przypomina wojny... Jakaś matrona z giestem rozpaczy ogromnej niosąca chustę do załzawionych oczuu...

Między temi postaciami i kobietą istnieje zwią- zek tajemny. Łączy je wspólność majestatu ziemskiego, może ziemskiej boleści...

To mówi owo płótno szare.

Zajrzawszy przez ciekawość do kartki wyczy- tałem, że twórcą tój epopei jest *Jan Matejko* i że nosi ona skromne miano *portretu*.

Nieinaczej, miał to być „portret” tylko. Ale geniusza nie zamknąć w formach powszednich. Rozrywa on je jak orzeł klatkę drucianą...

Robią Matejce zarzut z tego, że nieposzedł śle- po za wymaganiami formy. O formalisci! chce- cież potępić go za to, iż zamiast *dobrym* stał się *doskonałym*?

Tego błędu nie wytknie pewnie krytyka panu Kowalskiemu, który wystawił *Portret I. J. Kra- szewskiego*.

Portret ten jest pod każdym względem pracą nieudolną. Technika w nim słaba, upozowanie modelu do trywialności powszednie, koloryt cie- mny i zamazany. Kraszewski, którego sympatyczne i pełne ciepła serdecznego rysy znane są nam wszystkim, tutaj niczem autora „Chaty za wsią” nie przypomina. Pojmujemy, że lata i tro- ski napisały na tój twarzy kilka nowych zmarszczek, że przygasiły bardziej jeszcze ogień zre- nie spłowiących — niemogły jednak z naszego po- wieściarza zrobić starca o zgrzyliwym i niedole- żnym wyrazie twarzy, jakiego właśnie p. Kow. przedstawił. Artysta wyrządził krzywdę i Kra- szewskiemu i nam.

Przypomina się tu mimowoli edykt angielskiej monarchini Elżbiety, zabraniający lichym mala- rzom powtarzania w rysunku jęj królewskich ry- sów. Nie można nie przyznać temu edyktowi pewnej słuszności. Ludzie na których wzrok tłu- mu jest zwrócony, nie mogą pokazywać się mu w ośmieszonym przez nieudolność czyjaś wi- zerunku.

Pan Maleszewski znany dotąd jako zdolny pa- stelista, ujął penzel i paletę z farbami olejnymi celem odmalowania portretu śpiewaka tęczo- wych „dumek, szumek i wiosnianek” — Bohdana Zalewskiego. Rzecz prosta, że walcząc bronią mało sobie znaną, zwycięzcą zostać nie mógł. Kardynalną wadą jego obrazu jest koloryt mdły i nienaturalny. Rysunkowi jednak nie zarzucić nie można, a i wyraz twarzy sędziwego wiesz- cza pełen jest ideału i namaszczenia.

* * *

Teraz, o czytelniku, odetchniemy świeżą atmo- sferą łąk i lasów, przyjrzymy się swobodnie błę- kitowi nieba zakrytego w mieście murami i dy- mem kamiennych węgli, i ucieszymy się wido- kiem naszej wspólnej matki — natury.

Wszystkich tych rozkoszy doznamy *in abstra- ho*, ale — co nam to szkodzi!

Oto naprzykład wabi nas cudowna *Kępa*. Drzewa na niej rozłożyste, murawa aksamitnej miękkości, Śliczna ustron! Szmaragdowe swia- tła drzą na wodzie, drzewa w nią patrzą jak w lustro; wieśniak odczepia czółenko, żeby się po szklanych falach poslizgać... Aż zazdrość bierze patrząc na niego! — I czy te śliczności wszy- stkie artysta w głowie swj wymaslił? Bron Bo- że! To krajobraz z *natury*, a p. Szermentow- ski był tylko tłumaczem pomiędzy nią a nami. Podziękujmyż mu za to ładnie...

Pan Sz. należy do idealnej szkoły pejzażystów. Natura ma u niego zawsze znamię piękności nie- śmiertelnej i jest ołtarzem w którym się kryje — bóstwo.

Kępa na którą teraz patrzymy nie tworzy sa- ma przez się wysoko poetycznego obrazka. Tro- chę drzew, wody i murawy — to materyał, z któ- rego mierny artysta nieby zrobić nie potrafił. Ale p. Sz. umiał na tę drzewa, wodę i murawę patrzeć oczyma poety, umiał opromienić je swia- tłem ideału... i dla tego zmieniły się one pod je-

go ręką w całość pełną wdzięku i świeżości nieporównanej. (*)

Inny tegoż artysty *Krajobraz* też same posiada zalety. Prostota w nim wielka, ani cienia wymyślności lub afektacji. W parku wiejskim na załomie lipowej alei, bieleją kamienna figura Madonny z dzieciątkiem. Pod figurą klęczy młoda kobieta i dziecię swą małą do stóp Bogarodzicy podnosi. Dziewczynka lat kilku stoi obok i kwiatami kamienną postać przysstraja. Tuż koło Madonny klomb kwiatny w różne płoni się barwy. Pełno w nim malw różowych, krwawych maków i niebieskiej ostróżki. Całość pełna jest idyllicznej poezji, i przenosi patrzącego w złote wieki wiary i prostoty.

W krajobrazie p. Jaroszyńskiego *Widok z okolic Oświęcimia*, widnieje sumienna praca i traktowanie przedmiotu poważne. Brak mu wszakże precyzji, który to przymiot rzadko się przez pracę samą osiąga. Krajobraz obejmuje przestrzeń rozległą, a mimo to nie grzeszy jednostajnością. Wypełniony on jest *po brzegi* przez kształty piękne i malownicze. Ale kształtom tym brak ożywienia, brak tego mistycznego zaklęcia, które widzowi każe chwalić nie obraz piękny, ale piękną naturę.

„Widok” ten jest fragmentem lesistej okolicy. Na pierwszym jej planie wysmukłe sosny i dęby mroczne w poważnych stoją grupach. Środkiem płynię cicho rzeczka nieduża. Na wysokim i osypującym się brzegu igrają mieszkańcy lasu: jelonek młody i dwie łanie. Za nimi, naksztalt fal oceanu rozciąga się panorama lasów dalekich....

P. Gumiński na niewielkim płótnie wymalował kilka wielkich drzew, umieścił między nimi artystę przy stalugach w towarzystwie dwóch zagadkowych postaci, i nazwał to wszystko *Studyum w lesie*. Nazwiej tej nie stawiam żadnego zarzutu, owszem chwale ją, jako malowniczą i niepowszednią. Osmielam się tylko prosić pana G. o wyjaśnienie dwóch punktów zgoła dla mnie ciemnych—mianowicie:

1) co z tak wielkim zajęciem przenosi na płótno malujący artysta, kiedy przed nim znajduje się kawał najzwyczajniejszej w świecie murawy?

2) jaki jest jego stosunek do dwóch stojących po za nim ludzi ubranych w kostjumy z baletu „Rozbójnik morski” i posiadający miny nietolerowane przez policję?

Zanim p. G. uzna za stosowne ciekawość moją zaspokoić, to jeszcze mu powiem, że robota jego mało posiada warunków krajobrazu, a mniej jeszcze sceny rodzajowej. Zaliczyć by ją przeto trzeba do kategorii pośredniej o cechach tak nieokreślonych jak np. czterowiekowe locum polskiego Fausta, Twardowskiego.

Dwa krajobrazy p. Malinowskiego nie świetnieją niczem, zaleca je wszakże czystość rysunku i naturalność. Treści do nich dostarczyły dwie *realne* wsie w Płockiem. Należałoby, żeby szczęśliwi owych wsi posiadacze ozdobili ich podobiznami ściany salonów swoich. Przykład ten mógłby znaleźć naśladowców.... Amen.

Pan Łubiński odmalował wodnemi farbami *Kollegiatę w Opatowie*. Jest to robota amatorska uchylająca się z pod krytyki... Trzeba jednak wyznać, że obok pewnych niedostatków posiada ona wielką zaletę: podobieństwo. Odznacza ją także rzadka u amatorów śmiałość i pewność malarskiego dotknięcia ręki.

A propos akwarelli wspomnę o dwóch małych szkicach p. Kostrzewskiego. Noszą one nadpi-

sy: *Na ryby* i *Na grzyby*. Szkice te posiadają dość werwy i humoru, i są wcale ładnymi scenkami z życia potocznego. Zdają się też dowodzić, że głosy zawodzące *requiem* nad zdolnościami artystycznymi pana K. ozwały się, conajmniej zawczasie.

Dla zaokrąglenia pogadanki wypada mi wspomnieć o nowych w dziedzinie rzeźby objawach. Jest ich bardzo niewiele. Pan Syrewicz wystawił marmurowe *popiersie pułkownika M.*—pan Zbąski gipsowy model grupy *Cyrylla i Metodego*—oto wszystko.

Praca p. Syrewicza odznacza się podobieństwem i pracowitością, choć zbyt realnym, wykończeniem. Grupa apostołów słowiańskich p. Zbąskiego nie posiada wyższych zalet formy, i nadto zbyt szkicowo jest pomysłana.

(gm)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 92.)

Gawędy matki przez Anastazję Dzieduszycką. Lwów 1872.

Tymczasem ani ojciec, ani matka jeśli spędzili ranne dni młodości pod kierunkiem różnym nie są w stanie z zadatków tego co jest, jednomyślnie zawyrokować o tém co będzie bo gdzie niema żadnych pewników, tam rozmaitość zdań staje się nieunikniouą. Jedno z rodziców ciągnie do lasa, jedno rozplywa się w idealizmie, drugie lgnie do ciężkiej materji; takich małżeństw pełno bywa na świecie, jest ich także sporo i w naszym kraju, nie mogą porozumieć się w drobnostkach, cóż dopiero gdy idzie o przedmiot drażliwy i wielkiej wagi. Chyba że dla oszczędzenia widoku domowych zgorzeń zawrą z sobą przeciw dzieciom rodzaj odpornego przymierza, którego cała korzyść ograniczy się na tém że ta lub owa strona w wychowaniu potomków zostanie dyplomatycznie przez rodziców zaniedbaną.

Niezatrzymujmy się atoli na jedynem przypuszczeniu. Dajmy na to że dwoje ludzi dobrało się jak w kocu maku, bo już ciż nie możemy uważać tego za okoliczność pomyslną dla dziecka gdy matka jego tak jest wyzutą z samodzielności że berło władzy nad potomstwem dostaje się bez kłopotu ojcu—lub gdy rzecz ma się odwrotnie. Okaże się wprawdzie wtedy iż książka p. Dzieduszyckiej, przeznaczona ku powszechnemu zbudowaniu przejdzie na wyjątkowy użytek wyjątkowej pary, ale słowo się rzekło—niecofamy śmiałej hipotezy.

Owszem dodajemy do niej jeszcze inną. Chcemy wierzyć dopóki mamy do czynienia z „Gawędami” że wszyscy ojcowie i matki są ulepieni z jednolitej masy, że dzierżą w swęj dłoni zebrane do kupy sprężyny wychowania, że skoro wzruszą się upomnieniem autorki potrafią używać ich jednostajnie i zawsze z wybornym skutkiem. To jest przypuszczamy że ogół rodziców jednakowe ma okulary przez które na świat patrzy, jednakie siły, jednakie światło, jednakie cnoty... Przypuszczeń naszych nie czynimy dla żartu, gdyż praca pani Dzieduszyckiej ze wszechmiar zasługuje żeby rachowano się z nią poważnie, ale rachować się trzeba i dla tego odrzucając podrzędne lubo wątpliwe liczby spieszymy do ostatecznej, rozstrzygającej ilości.

Stanęliśmy u celu: wzór wychowania uczyniliśmy prawie jednoznaczniemi woli rodziców, bo tak wypada z dzieła p. Dzieduszyckiej—jak-

że teraz wychowywać, jak i czego uczyć oni będą swoje dzieci?

„Mówmy wcześniej dziecku (zaleca autorka) nie o życiu ludzkim wymarzonem lub dowolnie pojętém, ale o życiu rzeczywistém, obeznawajmy je z prawami rządzącemi społeczeństwem, mówmy o różności zdań i pojęć ludzkich, o prawach i obowiązkach każdego człowieka, wpajając weni o ile możności przekonania najumiarkowańsze i najbezsronniejsze, a przeto jak najbardziej do prawdy bezwzględnej zbliżone.” (str. 35).

Zgoda—ale na nieszczęście są to same ogólniki. „Mówmy dziecku nie o życiu wymarzonem”—co to za życie wymarzone?

„Nie o dowolnie pojętém”—jakie to jest życie dowolnie pojęte?

„Ale o życiu rzeczywistém”—jakie są jego właściwe cechy?

„Wpajajmy przekonania najumiarkowańsze”—jakie zakreslimy granice temu umiarkowaniu?

„I najbezsronniejsze”—gdzie znajdziemy sami dla siebie probierz tej bezsronności?

„Normalnie rozwinięte w dzieciństwie i w pierwszjej młodości siły (mówi pani Dzieduszycka), zalety i zdolności winien człowiek zużywać w dalszych latach na jak najszczytniejsze spełnianie swych obowiązków względem siebie, rodziny, ludzkości, zlewających się w jeden hymn czci dla stwórcy.”

Ogólniki znowu. Obowiązki względem siebie i względem bliźnich zależnemi są od wiedzy i umoralnienia człowieka, niemal od klimatu i od stopnia szerokości geograficznej, od natury stosunków w jakich się ludzie znajdują, od czasu w którym rodzą się i żyją, od wyznań religijnych sprzecznych z sobą w wielu krajach—obowiązki te zależnemi są jeszcze od charakteru potrzeb bądź moralnych bądź materialnych, które wytwarzają każdą naszą powinność, gdyż obowiązków bez potrzeby nie istnieje, lub jest *wymarzonem* tylko, *dowolnie pojętym*, nie zbliżającym się wcale „do prawdy bezwzględnej...”

Potrzeby zatem uprzedzają szereg odpowiednich obowiązków. Uczuwamy pierwsze zdając sobie nieraz sprawy czém mają być ostatecznie. Słowem potrzeba sama przychodzi, a obowiązku będącego środkiem jej zaspokojenia uczyć się musimy.

Dokładne pojęcie obowiązków względem siebie, rodziny i społeczeństwa—toż najwyższa nie udzielona ludziom znajomość przeszłej, terażniejszej i przyszłej etyki—toż absolutna pewność tego, co należy uczynić dziś, jutro, a co uczynilibyśmy za lat tysiące, co w tym wypadku, a co w okolicznościach całkiem nam dotąd obcych i nieprzewidzianych przez najbystrzejszy umysł ludzki; toż jasnowidzenie nieustanne wszystkich rozwojowych, wciąż odmiennych stanów cywilizacyi, wszystkich faz historii, wszystkich utajonych jeszcze potrzeb ludzkości—toż posiadanie na własność, ujęcie w garść ideału gwoli powszechnemu użytkowi....

A ideał im prawdziwszy (bo ileż to już było nieprawdziwych) tém jest niemożliwszym do osiągnięcia. Przyswiewca on zdala wskazując ziemię obiecaną do której nie wejdą śmiertelni. Człowiek wyobraża sobie, że gdyby raz tam dostał się, byłby stokroć błogosławionym. Ale błogosławieństwa tego w doczesnej pielgrzymce swojej oczekiwać nie powinien.

W doczesnej pielgrzymce człowiek słusznie powinszować sobie może jeśli kierując się ku jasnej gwiazdzie nie wpadł do wilezjej jamy, nie ugrzązł po szyję w błocie, nie grzmotnął się łbem o skałę, nie zwichnął nogi zawadziwszy o kłodę, niewybił oczu natknąwszy się na gałąź, nie ską-

(*) Obraz ten w rycinie zamieściliśmy w Nrze 74 „Wieńca.”

pał się pod lodem i nie wysuszył się w kraterze. Bo wszystkie te przyjemności leżą na jego drodze wiodącej ku ideałowi—a która zowie się smutnym doświadczeniem.

Ponieważ p. Dzieduszycka, jak widać z wielu ustępów książki, pisze wyłącznie dla prawowiernych wyznawców religii chrześcijańskiej, niepotrzebuje więc trudzić się określeniem ideału. Zasady życia idealnego wyklada im Ewangelia, tłumaczają teologowie, przypominają kaznodzieje... Sztuka zaś świeckiego wychowania ma bliższe, ściślej ujęte cele zastosowane do natychmiastowych trudności i wymagań epoki, cele nie promieniające wiecznym blaskiem na wysokościach, lecz skromnym światłem latarni w ręku dążącego przez mroczny padół, wędrowca.

Przeświadczona o niezliczonych korzyściach jakie społeczeństwu przynosi staranne wychowanie młodego pokolenia, autorka zajmuje się więc tym czegoby żyć trzeba niż sposobem otrzymania upragnionych rezultatów. Nie pamięta ona że wskazówki jej przydałyby się wtedy jedynie gdyby społeczeństwo stało na wysokości zadań pedagogicznych i wszystko czego te zadania wymagają miało już gotowem do użycia. Ale z przytoczonej wyżej nagany zagęszczonych u nas w mniemaniu autorki ułomności, przekonujemy się że pani Dzieduszycka nie może ludzi się podobnym optymizmem. Skoro zaś twierdzi że okazujemy dla siebie wiele pobłażania a za nadto surowi jesteśmy dla innych, w czemże widzi rękojmią że potrafimy zaszczepić w wychowancach naszych uczucie bezstronności i przedstawić mu każdą rzecz w świetle właściwem, zwłaszcza gdy dotkniemy przedmiotu nie miłego nam osobiście? Tu nie dość czuwać, trzeba jeszcze być światłym strażnikiem, niedość „sąd rozjaśniać, wolę hartować, stawiać coraz wyżej ideały” (str. 46) jak nam się zamarzy, lecz trzeba samemu ciągle poznawać co służy do rozjaśnienia sądu, a co go zaciemnia, ku czemu zachęcać, a w czem sposobie wolę do oporu, jak stawiać ideały żeby zamiast wznoszenia się coraz wyżej niegrzązły się coraz niżej, jak rozumieć „miłość chrześcijańska, honor i prawdę”—te piękne godła w których imieniu dopuszczano się nieraz tyle straszliwych występków, hańby i zaślepienia cofającego ludzkość z toru jej przeznaczeń.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

Gmina pierwotna i terazniejsza.

Dalszy ciąg. (Ob. Nr. 92).

Drugi daleko obszerniejszy typ wspólności majątkowej spotykamy u południowych ludów słowiańskich, jako to: Serbów, Kroatów i t. p. Dokładne wiadomości o bycie tych ludów podaje nam Utiesenowic, Die Hauskommunionen der Südslawen) urodzony i wychowany między niemi i uważający wspólność majątkową rodzin za jedyny warunek dobrobytu i moralności swych ziomek. Słowianie południowi od najdawniejszych czasów żyją w tak zwanych spółkach domowych czyli familijnych (Hauskommu-

nionen). Każda rodzina zamieszkuje osadę złożoną z domu głównego, oraz mniejszych domów i zabudowań gospodarskich, otoczonych zwykle ogrodem. Na czele rodziny stoi gospodarz domu (gospodar) lat 40—50 z żoną, która jest przelozoną nad kobietami. Resztę mieszkańców składają: ojciec gospodarza, który przedtem piastował tę godność, i tylko z powodu starości oddał ją synowi, jego żona, bracia ojca z rodziną i bracia gospodarza z rodzinami. Każda taka familia posiada 25—40 jochów (*) gruntu, który jest własnością ogólną, i nie może przejść w posiadanie jednego ze splatą innych. Podział majątku takiej rodziny może nastąpić tylko między żywymi dla utworzenia nowej spółki, nigdy zaś drogą spadku. Gdy wszyscy członkowie umrą, ostatni może zarządzić majątkiem w testamencie, i tylko gdy go nie zostawi stosuje się ogólne prawo o spadkach.

Małżeństwom członków rodziny nietylko że nie stawiają przeszkód, lecz owszem uważają je za korzyść, gdyż przez to powiększa się liczba rąk do pracy. Nawet w razie zbytniego przeplenienia rodu można przyjmować zupełnie obce osoby.

Gospodarz zarządza całym domem, wyznacza każdemu zajęcie, sprzedaje produkta i kupuje rzeczy niezbędne, przedstawia osadę przed władzą, opłaca ciężary i t. p.; w ważniejszych jednak razach naradza się ze wszystkimi dorosłymi członkami. Przy obiorze nowego gospodarza zwraca się uwagę, nietylko na wiek ale i na zasługi, podług przyjętej maksymy: ko radi, onaj walja i da sudi (kto pracuje, powinien i sądzić); zwykle jednak godność ta dostaje się najstarszemu synowi poprzedniego gospodarza. Wszystkie roboty w polu lub około trzód odbywają sami członkowie familii; służących zaś przyjmują tylko w braku zdolnych do pracy członków i to tylko czasowo. Dochód z gospodarstwa jest wspólną własnością; gospodarz opłaca z niego podatki, zaspakaja potrzeby domowe, resztę zaś chowa lub w niektórych okolicach rozdziela. Prócz tego każdy może w czasie wolnym od ogólnych prac gospodarskich zajmować się rzemiosłami, i wszystko co w ten sposób zarobi, staje się wraz z posagiem żony jego indywidualną własnością. Posag kobietom wychodzącym za mąż daje się z majątku ogólnego, ale tylko ruchomego. Niektóre niezbędne przedmioty, mianowicie takie, które nie mogą być w domu wyprodukowane, kupuje gospodarz ze wspólnej kassy; płótno zaś każda para powinna sama sobie robić, i na ten cel dostają one po parę zagonów pod uprawę lnu. Zajęciami domowymi kobiety zajmują się kolejno co tydzień.

Liczba osób wchodzących w skład takiego rodu dochodzi czasem do 60; zwykle jednak nie bywa większa nad 10—12. Tylko osady posiadające dużo gruntów, i w których panuje wysoka moralność mogą się znacznie rozmnażać. Zbyt niemu rozradzaniu się zapobiega często opuszczanie domu przez członków; kobiety wychodzą za mąż, mężczyźni zaś udają się do miast na urzęda lub do rzemiosł i zrywają stosunki z rodziną, tracąc wszelkie prawo do wspólnego majątku. Ci którzy służą wojskowo po odbyciu

(*) Joch, jest mało co większy od naszej morgi.

służby wracają zwykle do domowego ogniska. Gdy pomimo tego ubywania członków, liczba pozostających jest jeszcze za wielką, wysyłają młodych ludzi na zarobek, co rok innych; zarobione pieniądze stają się ich własnością i tylko pewną tantiemę składają do kassy ogólnej.

Taka forma bytu ustaliła się u południowych Słowian historycznie, obyczajem zdawna przechowywanym. Władza skorzystała tylko z tego dla swoich celów, szczególnie zaś militarnych na Pograniczu wojskowym, i dla tego prawo Grenzgrundgesetz z roku 1807 ściśle określiło te stosunki. W innych krajach feudalni panowie również nieomieszkaliby skorzystać z tej organizacji, gdyż łatwiej im było egzekwować należne sobie ciężary z tak ukonstytuowanych osad, aniżeli z pojedynczych familij. Landtagsgesetz z roku 1852/6 dozwolił rozdziału wspólnej ziemi za zezwoleniem pana i to tylko do 1/4 części; od tego czasu liczba spółek domowych coraz się zmniejsza.

Na pierwszy rzut oka możnaby sądzić że wspólność majątkowa rodzin lub gmin, jako rozpowszechniona obecnie tylko u plemion słowiańskich, tkwi w ich duchu narodowym i stanowi charakterystyczną ich cechę; wielu nawet uczonych jest tego zdania. Nie trzeba jednak obszernych badań, żeby się przekonać, że przez podobną fazę rozwoju społecznego, przechodziły wszystkie narody w początkach swęj dziejowej pielgrzymki i że dziś jeszcze w niektórych krajach stan ten można napotkać. I tak: na wyspie Jawie własność gminna jest bardzo rozpowszechniona obok indywidualnej. Gmina wspólnymi siłami przedsiębierze trudne roboty około irygacji pól, bez której niepodobne tam jest gospodarstwo rolne, i ponosi ciężary publiczne, grunt zaś oddaje swym członkom w posiadanie zwykle dożywotne, a nawet dziedziczne. W Indyi wspólność podobna niedawno dopiero została zniesioną i zamienioną na familijną, z pewnemi tylko ograniczeniami co do wolności uprawy. Nawet w niektórych okolicach Niemiec, zwyczaj peryodycznego rozdziału ziemi, w ostatnich czasach dopiero został zniesiony.

Zabytki historyczne odnoszące się do pierwotnego bytu narodów przedstawiają nam życie rodzinno gminne, jako pierwszy związek społeczeństw. Pisarze Grecy jak Arystoteles, Strabon, Dyodor Sycylijski i inni opisują stan podobny u różnych ludów starożytnych: Cezar, Tacyt u Germanów, Prokop Cezaryjski: ces. Maurycy i Konstantyn Porfirogenita, oraz miejscowe kroniki Nestora, Bogułała i podania ludowe u Słowian. Podług Tacyty Germanowie zajmowali się głównie uprawą roli i pasterstwem, nie zajmowali ciągle jednych siedzib, lecz przenosili się z miejsca na miejsca. W nowęj okolicy przywódcy wyznaczali oddzielnym familjom działy podług znakomitości i liczby członków, co z powodu wielkiej ilości ziemi nigdy nie bywało powodem kłótni. Pisarze Bizantyjscy nie spotykają u Słowian uorganizowanych rządów, a tylko starzów żupanów, ojców i t. p. którzy w ogólnych sprawach naradzają się między sobą.

(d. c. n.)

Sprostowanie. Nr. 92, na str. 861, szp. 2, wiersz 23 od góry, zamiast *uczciwość*, czytać *uczuciowość*.

Treść: Szkice antropologiczne, Chomentowskiego. — Ramułowie, powieść współczesna J. I. Kraszewskiego (c. d.) — Obraz wychowania publicznego w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki, Krupińskiego, (c. d.) — ś. p. Heuryk Sztark. — Wrażenia z wystawy Sztuk Pięknych (dokończenie). — Przegląd literacki, D. Henkiela (c. d.) — Ze świata naukowego i społecznego. Gmina pierwotna i terazniejsza, Dunina (c. d.) — Sprostowanie. — **Ryciny:** Ślusarszczyzna. — Dziadek i Wnuk.

Wydawca, HIPOLIT ORGELBRAND.

Дозволено Цензурою, Варшава 6 (18) Ноябрь 1872 г.

Redaktor, MIECZYSLAW ORGELBRAND M. Pr. i Ad.